

Prezydent Benesz

szczęśliwym małżonkiem i zapalonym sportowcem

Powołany 18 grudnia na prezydenta Czechosłowacji Benesz był wśród jedenastorga rodzeństwa najmłodszym synem ubogiego czeskiego rolnika. Jako uczeń i student nieraz odczuwał aż nadto dotkliwie, co znaczy niedostatek.

Szczęśliwe okoliczności tak się złożyły, że dały możliwość jego wielkiej energii do zatriumfowania nad przeszkodami i zdobycia najwyższego stanowiska, jakie kraj mógł mu ofiarować — prezydenta Czechosłowacji.

Wieloletni, bo od początku niemal powstania państwa, minister spraw zagranicznych Czechosłowacji, Benesz odczuwa jednak od dawna nieprzeparty jakiś pęd, który pcha go wciąż do roli. Gdy więc tylko zapragnie oderwać myśli od codziennych trosk i trudów lub zechce wypocząć od polityki, udaje się do swej siedziby prywatnej w Taborze. Dokoła domu rozciąga swe powaby duży park.

Czy przypadek skłonił Benesza do urzędowania swej siedziby właśnie w Taborze? W dawnej stolicy ruchu husyckiego? W każdym razie b. prezydent Masaryk powiedział kiedyś, że samo tylko słowo Tabor starczy już za program moralności, humanitaryzmu i społecznych koncepcji.

Gdy tylko czas na to pozwala, Benesz spędza swe „wpek endy” w Taborze. Kto niespodzianie tam

przyszedł, spotkać może w ogrodzie ciężko pracującego człowieka, którego napewno weźmie za ogrodnika. Jest to Benesz. Pragnie on stosować w swym gospodarstwie najlepsze sposoby pracy na roli i w ogrodzie, z zapalem więc bada najnowszą literaturę tego przedmiotu. Aż dziw bierze, że odnalazł w sobie duszę swych przodków-rolników i dlatego z takim zamięłowaniem pochyla się podczas pracy nad matką-ziemią.

Jeden z przyjaciół opowiada o Beneszu, że od czasu, gdy zaczął w ten sposób spędzać wolne chwile, rozwinął się w nim bardzo silnie instynkt własności.

Albo Benesz jest również zapalonym sportowcem. Doskonale gra w tenisa, jest dobrym narciarzem, posiada doskonałą praktykę w grze w piłkę nożną, a w latach młodzieńczych złamał nawet nogę na stadionie klubu „Slavia” w Pradze. Jak w polityce, tak też i w sporcie Benesz nie jest dyletantem, zawsze chce wygrać i często wygrywa.

Jego żona pochodzi z podobnego, co i prezydent, środowiska. Otrzymała też podobne wykształcenie. Jest to osoba bardzo subtelna, inteligentna, przyczyniła się więc w dużym stopniu do powodzeń swego męża, dając mu stałe to oparcie moralne, które tak jest konieczne dla człowieka czynu. Jej życie nieraz było bardzo burz-

liwe. Większą część wojny światowej spędziła w więzieniach austriackich. Oboje Beneszowie studiowali we Francji. W roku 1908 Benesz otrzymał w Dijon dyplom doktora praw za pracę o Austrii i kwestii czeskiej. Te właśnie studia i długi pobyt we Francji sprawiły, że oboje pp. Beneszowie są w wysokim stopniu zżyli z kulturą francuską.

J. W.

Czytelnicy piszą...

Precz z gorsetem manier

Ze p. Jan Waśniewski w swojej pogawędce niedzielnej „Bądźmy kolorowi” mówi: „bądźmy mniej szarzy, stańmy się kolorowi, mówmy i piszmy co mamy na wstępie. Twórzmy opinie”, więc, choć to wezwanie skierowane było naturalnie tylko do jego plei, jednak biorąc na odwagę i ja „słaba białogłowa” i mówię.

Chcę właśnie coś powiedzieć panu M. S. na temat poruszonych w tymże numerze przez niego cnót rycerskich.

Szanowny autor pragnie powrócić „naszych starych tradycji”, kiedy to mężczyzna nie będzie śmiało siedzieć w tramwaju wobec stojącej kobiety, kiedy zniknie swarliwość i niegrzeczność dla konduktorów tramwajowych, nieprzystojne zachowywanie się młodzieży wobec przechodniów na ulicy.

Oceniam dobre intencje autora, a że zabieram w tej sprawie głos, to z innych pobudek.

My, kobiety dzisiaj, nie chcemy aby mężczyźni ustępowali nam miejsca w tramwajach, dlatego że jesteśmy kobietami. Nie. Bo część z nas nie chce być honorowana li tylko dlatego, że są ładne i młode, a te starsze i niepowabne, bo ustąpienie miejsce kryje i złorzeczenie w duszy. Nie, dziękujemy.

Dzisiejsza kobieta specjalnych względów dla siebie nie wymaga. Jest zdrowa, wyportowana, wygimnastykowana i czuje, że jest silna. Zato wymaga czegoś innego: niech każdy mężczyzna zdrowy i silny i niech każda kobieta zdrowa i silna broń Boże nie „przywyka do codziennego występowania w gorsecie dobrych manier”, tylko niech w sobie przemysli i nabierze przekonania własnego, głębokiego i mocnego, że kobiety, trzymające dziecko na ręce należy ustąpić, bo jest jej ciężko, że kaleka jest słabszy, niż on czy ona zdrowi, że starszy czy chora potrzebują oparcia i pomocy od niego czy od niej młodych, że konduktor tramwajowy jest

KATOWICE, 18.1. (Tel. wł.). Obyła się tu pod przewodnictwem dyrektora depart. Min. Przem. i Handlu p. Peche informacyjna konferencja Komisji Międzyministerjalnej, w której wzięli udział przedstawiciele wszystkich organizacji zawodowych Śląska i Zagłębia Dąbr., w sprawie sytuacji w przemyśle.

POSTULATY PRACODAWCÓW.

P. Peche przedstawił na wstępie postulaty wysunięte przez pra-

codawców. Przemysłowcy dążą do: zmiany, względnie zniesienia ustawy demobilizacyjnej, oraz ustawy o Radach Zakładowych; do koncentracji produkcji (do zamknięcia mniej rentujących się kopalni); do zawieszenia na przeciąg 1 roku ustawy o urlopach robotniczych, gdyż, jak twierdzą, urlopy te obciążają nadmiernie przemysł. W zamian zaś za to pracodawcy byłoby skłonni zaniechać urlopów turnusowych i świętovek, które podobno również stanowią poważne obciążenia dla przemysłu; do obniżki zarobków robotniczych, której wysokość uzależniona będzie od rekompensaty, jaką przemysłowcy osiągnęliby w zakresie wyżej wymienionych zadań.

Następnie udzielił dyr. Peche głosu przedstawicielom związków zawodowych, którzy sprzeciwiali następujące żądania:

ŻĄDANIA ROBOTNIKÓW.

Skrócenia czasu pracy do 6 godzin; podwyższenia zarobków robotniczych; rozebrnięcia ustawy o radach zakładowych na teren Zagł. Dąbr.-Krakowskiego; uregulowania sprawy urlopowej przez przedłużenie ważności umowy na dalszy okres; skrócenia czasu pracy t. zw. pogotowia pracy, oraz wpłacenia do kasy Sp. Brackiej przyrzeczonych przez Rząd i prze-

mysł funduszy. Poza tym poruszono sprawę ubezpieczeń społecznych i pomocy finansowej dla bezrobotnych, oraz zagadnienie robót publicznych.

PESYMISTYCZNA ODPOWIEDZ

Po oświadczeniu p. Stańczyka przemawiał dyr. Peche, który oświadczył, iż zgadza się ze stanowiskiem, zajętem przez klasę pracującą, oświadczając jednak, że sytuacja, jaka się wywiązała, jest daleko cięższa, niż się to w Warszawie wydawało. Komisja zaś ma kompetencje ograniczone i została powołana tylko do wysłuchania żądań przedstawicieli robotników. Niemniej jednak będzie się komisja starała przedstawić rządowi obiektywną opinię w tych sprawach.

W końcu jeden z przedstawicieli związków zawodowych zainterpelował, kiedy nastąpi ponowne zwołanie posiedzenia komisji, która w związku z ostatnim strajkiem protestacyjnym przerwała swe prace, a która obradowała nad zagadnieniem skrócenia czasu pracy. Na pytanie to jednak nie udzielono żadnej odpowiedzi. Zamykając obrady, dyr. Peche oświadczył, że jest wielkim pesymistą i nieraz już twarzą rzeczywistość przekreśliła niefedelnym plan, zmierzający do poprawy stosunków.

Falszywy powstaniec

W r. 1863 liczył zaledwie 4 lata

LWÓW, 18.1. (Tel. wł.). Jak do noszą z Przemyśla, policja już kończy śledztwo w nader sensacyjnej aferze szweca Michała Gawalewicza. Gawalewicz został uznany przed laty za uczestnika powstania 1863 r. i otrzymał za jednym zamachem stopień oficerski, Krzyż Niepodległości, emeryturę w kwocie 120 zł miesięcznie oraz kilkanaście tysięcy złotych za ubiegłe lata. „Powstaniec” przywdział mundur i paradował po mieście, zbierając ukłony całego garnizonu.

Ponieważ „weteran” wyglądał młodo, zainteresowali się jego „powstańcza” przeszłością „sąsiedzi” i oto okazało się, że w powstaniu nie brał udziału, liczył wówczas zaledwie 4 lata i korzystał z

nazwiska brata, który był rzeczywistym powstańcem. Dopóki żył niezapomniany prezes powstania dr. Leonard Tarnowski, usiłowania Gawalewicza o uzyskanie renty rozbiły się, po zgonie jednak wielkiego obywatela, pewien samorządowy przywódca z BB zajął się sprawą i przy pomocy poświadczenia z magistratu uzyskał dla fałszerza, wszystkie wymienione poprzednio tytuły.

Sprawa nabrała w mieście ogromnego rozgłosu, bo Gawalewicz był osobą i słowną figurą na wszystkich uroczystościach.

CARNA KAWA ELEKTRYKÓW

Dnia 25 stycznia r. b. w salonach Oficerskiego Kasyna Garnizonowego (al. Śzucha 29) staraniem Koła Elektryków Stud. Pol. Warsz. odbędzie się „Czarna kawa elektryków”. Dochód z powyższej imprezy przeznaczony jest na cele naukowe oraz samopomocowe Koła.

Początek zabawy o godz. 21.30, Orkiestra Osieckiego. Wstęp ściśle za zaproszeniami. Zaproszenia i informacje: Koło Elektryków, Politechnika, Polna 3, tel. 8-91-90, godz. 18.00 — 14.00 i u gospodarzy.

K. K. O. m. st. Warszawy

W grudniu ub. r. stan wkładów oszczęd. wzrósł o 2.874.863.66 zł. i wynosił na dz. 31.XII.1935 r. złotych 78.477.722.91.

Nowych książeczek oszczęd. przybyło w tym okresie 1.188, dzięki czemu na dz. 31.XII.1935 r. ogólna ilość ks. oszcz. wynosi 85.701.

Na ekranach

„KATARZYŃKA” W KINIE „STYLOWY”

Filmy Franciszki Gaal są cyklem bajek o Kopciuszku. Raz Kopciuszek występuje pod postacią kwiatarki, raz jako panienka ze sklepu z bułeczkami, kiedy indziej musi się aż przebrać za chłopca, żeby bajka mogła skończyć się szczęśliwie. Kopciuszek zawsze wychodzi za mąż, a królewiczem jest zwykle „pan na stanowisku” lub „pan materialnie niezależny”. Wszystkie razem stanowią historię równie nieprawdopodobną, jak wspaniałe małżeństwo sieroty, którą dała ogłoszenie matrymonialne, a równie miłą, jak wszystkie szczęśliwe nieprawdopodobieństwa.

W tych właśnie nieprawdopodobieństwach, niezwykłych metamorfozach Fr. Gaal czuje się doskonale. Jest ona przedewszystkiem aktorką charakterystyczną i ile razy poma się na tem reżyser i pozwoli jej stworzyć kreację nie lirycznej damy, ale wesołego „typka”, film ma zapewnić powodzenie. W tem tkwi tajemnica sukcesu „Piotrusia” i to samo stanowi dobrą wróżbę dla „Katarzynki”.

Katarzynka jest służącą. Chyba pierwszy film o tych, które chodzą kuchennymi, schodami. Historia, jak z groźkowej powieści. Miłość garkuchnia do idealu szefa, marzenia o zabawie w Lunaparku i groźki ciulane w północznej, trzymanej w sien-

niku. Losy Katarzynki są skomplikowane: jej szofer jest szoferem fałszywym, który tylko dlatego Katarzynkę zawraca głowę, żeby mieć wstęp do domu ukochanego t. j. córki bogatego pana, u którego Katarzynka służy. Katarzynka więc ciągle jest między brzegiem rozpacz, a radością czupriadła odkrywającego ze zdumieniem, że i ona może się podobać, może mieć „chłopca”, wychodzić w niedzielę i iść na tańce. Pełne niewiary „ich?” (ja?), którym Katarzynka wita tę odmianę losu, jest doskonale i dorównywa kapitalnym zeznaniem Fr. Gaal z filmu „Piotrusia” w scenie w sądzie dla nieletnich. Fr. Gaal potrafiła historię najwznieśliższej wsi, ostatniego popychadła, biedy i brzydoty, uczynić prawdziwie wzruszającą — z wdziękiem oddać przebudzenie Katarzynki, odkrywającej miłość, a potem się charakteru Katarzynki, doznającej rozczarowania, gdy jej szofer okazuje się panem z towarzysztwa, zaręczonym z inną.

Tajemnicze akcje można zdziwić bezkarnie; akcja jest biała komedia wiedeńska oparta na motywach farsowym przeobrażeniu się, a całą wartość daje filmowi rola Fr. Gaal — ona to decyduje o klasie tej mieszczańskiej wersji bajki o Kopciuszku. Zapewnie pomógł jej w tem reżyser i pomysłowy reżyser H. v. Konterlitz, twórca „Piotrusia”.

Z. B.

Z radia

Tajfun zażegnany

Zacząć trzeba oczywiście od tego, co się stała największą sensacją ostatniego tygodnia: że w zeszłą niedzielę zaniemówiła lwowska Wesoła Fala i że z tego powodu zerwał się prawdziwy tajfun zaniepokojenia i burzenia wśród radiosłuchaczy całej Polski. Chociaż incydent został już załagodzony i wesoła niedzielna audycja lwowska wraca do repertuaru, warto jednak zatrzymać się jeszcze nieco nad tą sprawą, która odsłoniła nam bardzo ciekawe kulisy psychologii zbiorowej polskich radiosłuchaczy.

Pokazało się, że obecnie chociaż to trwa dopiero niewiele więcej niż dwa lata — nie jest już do pomyślenia, aby się programy radiowe mogły obyć bez wesołej Fali. Ogromna większość słuchaczy odczułaby to jako dotkliwą krzywdę osobistą. I niema w tem bynajmniej jakiejś sugestji, jakie goś urabiania opinii przez byłych Lwówian, których jak wiadomo pełno jest po całej Polsce, a każdy przechowywał patriotyzm lokalny dla Lwiewo grodu. Poruszenie było także ludzkie nie wspólne go z Lwowem nie mający, których noga nigdy w nim nie powstała.

Czemże to się dzieje? Widocznie wieczory lwowskie nie tylko stały się na bardzo wysokim poziomie artystycznym, ale także ustraszyły utrafić we właściwą nu-

otę — związać słuchaczy z mikrofonem lwowskim silną nicią sympatii. Potrafiły wejść do życia rodzinnego w całej Polsce, stać się dobrym bliskim znajomym, z którym niechętnie opuszczało się którekolwiek ze stałych niedzielnych spotkań. Osiągnęły to zaś tem, że stworzyły swój własny świat i umiały zainteresować nas wszystkim, co się w nim dzieje. Tak doskonale skonstruowanych scen z życia codziennego, nie udało się dotąd stworzyć żadnej innej z naszych rozgłośni. Bez telewizji osiągnęła Wesoła Fala to, że jej typy są każdemu słuchaczowi tak dobrze znane, jak gdybyśmy je naocznie oglądali. Powstał zupełnie swoisty rodzaj audycji, które bez specjalnej reklamy umiały takie skupić na sobie zainteresowanie, że się każdej nowej Fali z zaciękwieniem oczekiwano.

Prawem kontrastu ucierpiał w ubiegłą niedzielę Cyrulik Warszawski, któremu przypadała rola zastępnika luki w programie, w miejsce zamilkłej stacji lwowskiej. Nastawieni na zgola inny typ humoru, słuchaliśmy dowcipów Cyrulika z zastrzonym krytycyzmem i chociaż w innej okazji byłby one przyjęte zupełnie dobrze, w tym wypadku wywołały tylko zawód i krytykę. Teatrzykowy rodzaj, przeniesiony do radia, stanowi w nim element ob-

cy, to też nie można go zbyt często stosować. Tymczasem zaś nabył często w wesołych audycjach ten właśnie szablon się wybiera, dla ułatwienia zadania — bo oczywiście trudniej jest zawsze o całość zwarecie z sobą związaną, niż o „kawale”.

Prawem serji widocznie spada w poniedziałek z programu druga także audycja humoru — dwa wesołe skece p. Bohdziewicz. Sobotnia Wesoła Syrena („Podróż do kresu nocy Sylwestrowej”), lepsza już od poprzedniej, miała ten defekt, że Sylwester w dniu 11 stycznia jest już trochę... niaktualny. Poza tem tak się jakoś złożyło, że tegoż dnia popołudniu mieliśmy reportaż p. Dzińskiego o nocnym życiu Warszawy: dobrzeby było unikać takiego powtarzania się tematów, bo znudzony monotonią tematu słuchacz skłonny jest omawiać autorów, choć może nieustannie, o brak inwencji.

Musztarda po obiedzie były również krakowskie „Gody podhalańskie”, które należałoby nadać raczej w okresie świątecznym. Wtedy jednak właśnie kolend było za mało.

Przyjemna była lekka audycja ze Lwowa „Tu się sprzedaje maski”, interesującym i godnym uznania pomysłem było również zainteresowanie komedii rybałtowskiej („Ciężkie czasy”) w ubiegłą niedzielę. Ostatnia premiera Teatru Wyobraźni, nadawana z Warszawy („Halo, tu brygada” Johannsena, tłumaczenie z niemieckiego J. Kossowskiego, reży-

serja W. Hulewicz), zdobyła pełny sukces.

Zdawało się początkowo, że ta nieretuszowana fotografia starego życia powszedniego na wojnie, w którym gra na harmonii idzie w parze z dalekimi detonacjami kanonady, a troska o obiad z coraz to nowymi wiadomościami o zabitych i rannych, nie potrafi dojść do dostatecznej siły napięcia dramatycznego. A jednak tego rodzaju metoda pisarska, właśnie dlatego że wolna od wszelkich normalnych atrybutów „roboty” scenicznej i starająca się być jaknajbliższą rzeczywistości żywej, działa na słuchacza coraz potężniej i kiedy przebrzmiał huk ostatniej detonacji, niszczącej podziemny schron, przylapujemy się na tem, żeśmy się „zastuchali”. To zaś jest najlepszy sprawdzian wartości radijofonicznej słuchowiska.

Ponieważ kandydat konkursu na speakerów odbywał obecnie próby praktyczne przed mikrofonem, można przeprowadzić ciekawe obserwacje na temat wartości akustycznej różnych głosów, dykcji, intonacji. Przeważnie wrażenia są dodatnie. Przesadną jednak afektacją uderzał sposób wygłoszenia odczytu w języku francuskim „Polska w zimie”. Przeciwnie marszrutu kolejowego nie potrzebna oddeklamacyjna patetyka i wibracja głosu. Im dalej idą wysiłki prelegentki w kierunku takiej afektacji, tem gorszy efekt — bo kierunek zgola fałszywy.

Udane były recytacje poezji Rielkego przez pp. Kersena i Wier-

cińską, a także recytacja wierszy Miłosa i Sebity przez p. Micińskiego. Natomiast oba ostatnie występy recytatorskie p. Ładosza nasuwają zastrzeżenia. Ma on bardzo dobre wyczucie charakterystycznej strony deklamacji i z powodzeniem (m. in. deklamując bajki Herta na wieczorze Sylwestrowym) używa metody, którą nazwałbym stylizowanym realizmem. Poecie jednak refleksyjne nie leżą w skali interpretacyjnej tego artysty ani też nie przysparza efektu tym recytacjom głuchy timbra głosu.

A bywają takie zgola mylne obady w rozdzieleniu ról przed mikrofonem. Tak np. niedawno powierzono odczytywanie ustępu z prozy historyjoficznej artyście znanemu ze swego „sex-appeal-u”, podczas, gdy wskazany tu był ton rzeczowy — poważny, a zatem i taki sam rodzaj głosu.

Skoło o tych rzeczach mowa, natużymy (na co zbrakło miejsca w poprzednim felietonie) doskonały sposób odczytania korespondencji paryskiej p. Korab-Kucharskiego „Zakrycie Ameryki”. Rzadko zdarza się słuchać prelekcji wygłoszonej z taką werwą, wnikiem i w sens, sugestywnością — a chciałoby się słyszeć jak najczęściej.

Wśród audycji muzycznych zasłużyły szczególnie na uwagę: poniedziałkowy koncert symfoniczny z Warszawy i wtorkowy ze Lwowa oraz w piątek europejski koncert niemiecki z Lipska. Parę refleksyj nasunęły jednak inne

audycje, mianowicie dwa koncerty naszych szczęśliwych pianistów, wyeliminowanych do uczestnictwa w tegorocznym międzynarodowym konkursie Chopinowskim, które nadano 21 grudnia i 12 stycznia.

W konkursach Chopinowskich stałe się nam nie wiedzie — oby w tym roku było lepiej. A powód? Na podstawie wspomnianych dwóch audycji, nasuwają się dwie uwagi.

Pierwsza, że wśród naszych młodych pianistów nie widać zarysowujących się wybitnych indywidualności. Przeważnie odczuwa się bardzo silny wpływ profesorów — do tego stopnia, że np. mężczyzna zadziwiał „kobiecością” ujęcia, a kobieta wręcz przeciwnie, niemal brutalnością uderzenia — a to tylko dlatego, że takie są także cechy profesorów.

Tem bardziej więc wzrasta rola kierownictwa pedagogicznego, mającego pianistów naszych przygotować do zmierzania się z zagranicą. Ale czy może nauczyć dobrze grać Chopina profesor, który własnymi koncertami raz po raz wykazuje, że... Chopina grać nie powinien, bo go należy nie odczuwać? Tu tkwi sedno.

Z tegorocznej szóstki najlepiej się zaprezentował p. Grzybowski, może także p. Szmuklerówna. Dla czego jednak zarówno ona, jak i p. Landauówna, większość popisuwanego programu przeznaczyły innym kompozytorom? Jak Chopin, to Chopin — o jego przecież interpretację chodzi, a nie o popis wirtuozowski.

Marjan Grzegorezyk.